

W czasie, gdy Ukraina krwawi pod ciosami najeźdźcy, a Krym zaanektowała Rosja, wracam myślą do czasów, kiedy wszystko tam jeszcze było normalne i piękne.

Wybraliśmy się małą grupką, żeby pooddychać krymskim powietrzem i pochodzić po tamtejszych górach. Dla mnie - miłośnika Mickiewicza - wyjazd ten był też okazją zobaczenia tego, co poeta opisał w „Sonetach krymskich”. Choć nasza wyprawa była górską, a nie mickiewiczowska, to jednak miałem nadzieję, że uda mi się zrobić choć parę kroków śladami poety.

Spotkaliśmy się na dworcu kolejowym w Przemyślu, skąd mieliśmy pociąg do Odessy. Gdy wjechał nasz pociąg, nie mogliśmy do niego wsiadać, bo przyjechał on z Ukrainy i celnicy jeszcze go przeszukiwali. Celnicy wsiadali do pociągów na granicy w Medyce i na trasie do Przemyśla robili w nich rewizje. Odkręcali klosze lamp, podnosili siedzenia i w różnych zakamarkach znajdowali przemycane towary - przeważnie papierosy. Nie wszystko jednak wpadało w ich ręce, bo przemycnicy po drodze wyrzucali towar przez okna, a zazajeni przy torach ich kumple go zbierali. Przeszukanie tamtego dnia było udane, bo funkcjonariusze wynieśli z wagonów kilka worków papierosów.

Gdy pociąg był już czysty, rozlokowaliśmy się w naszych przedziałach. Nosiły one ślady pracy celników, bo brakowało wielu wkrętów, a płyty ścian gdzieś odstawiały. Mimo to było wygodnie. U stewardessy można było kupić kawę, herbatę i nawet coś mocniejszego, więc podróż przebiegła przyjemnie. Po prawie dwudziestu godzinach dotarliśmy do Odessy, gdzie powitał nas wielki, biały dworzec z kopułą jak na tureckim meczecie i napisem: „Witamy w bohaterskim mieście Odessa”.

Oczekiwanie na pociąg do Symferopola skróciliśmy sobie wypadem do miasta. Przede wszystkim chcieliśmy zobaczyć słynne Potiomkinowskie Schody. Zostały one zbudowane ze względu na wysokie położenie Odessy względem morza i były najkrótszą drogą z portu do miasta. Są one niedaleko dworca i szybko tam dotarliśmy. Zszedłem gdzieś do ich połowy, stanąłem na boku i spojrzałem w dół. Zobaczyłem piękny port pełen statków wycieczkowych i jachtów. Patrząc zaś do góry, widziałem tylko schody i niebo. Wtedy stanęła mi przed oczami słynna scena z filmu „Pancernik Potiomkin”: najeżony bagnietami szereg schodzących żołnierzy, a przed nimi staczający się wózek dziecinny z niemowlęciem w środku. Niewielu reżyserów nakręciło sceny, które weszły do historii kina. Eisensteinowi się to udało.

Obejrzawszy schody, poszliśmy dalej i wkrótce natknęliśmy się na inną odeską ciekawostkę - pomnik pomarańczy, który odessyjczycy nazywają pomnikiem łapówki. Według przekazów caryca Katarzyna II planowała dać pieniądze na rozbudowę miasta i portu. Niestety zmarła, a jej następca Paweł I chciał uchylić dekret matki. Wtedy odesscy kupcy, znając słabość jego wysokości do pomarańczy, wysłali mu kilka wozów tych rzadkich w tamtych czasach owoców. Łapówka została przyjęta i car dał pieniądze. Pomnik postawiono dopiero niedawno i nie bardzo pasuje do otoczenia. Jest jednak atrakcją i wszyscy się pod nim fotografują.

Spacerując po mieście, często natrafialiśmy na ślady pobytów słynnych ludzi, ale dla mnie najmilszy był widok pomnika Mickiewicza i pamiątkowej tablicy na domu, w którym mieszkał. Moje marzenie o podróży śladami wieszczą zaczynało się spełniać.

W starej, nadmorskiej części Odessy widać, że było to miasto wielokulturowe, a dla Rosji okno na świat. Piękna architektura i parki są tak nierosyjskie, że Bulwar Przymorski mógłby być nadmorską promenadą gdzieś na Lazurowym Wybrzeżu.

Nasz czas się kończył i musieliśmy wracać na dworzec. Zanim podstawiono nasz pociąg, na tym samym peronie pożegnano pociąg do Moskwy. Pożegnano to właściwe słowo, bo na peronie stała orkiestra dęta, która grała dopóki pociąg nie odjechał.

Nas nie żegnała orkiestra, bo zaszczyt ten należał się tylko pociągom międzynarodowym. Odjechaliśmy więc w ciszy i po kolejnej nocy w podróży dotarliśmy do Ałusztzy. Znowu mi się poszczęściło, bo Mickiewicz też był w Ałuszczie i tak o niej pisał w jednym z sonetów:

„ ... Łąka w kwiatach, nad łąką latające kwiaty,

Motyle różnofarbne, niby tęczy kosa,

Baldakimem z brylantów okryły niebiosą; ... „

Za czasów poety zapewne było tam kwieciście i „różnofarbnie”, ale teraz Ałusztza stała się typowym kurortem z plażą (niestety kamienistą), nadmorską promenadą, restauracjami, dyskotekami i hotelami; dla nas stała się miejscem pobytu na czas wycieczki. Zamieszkaliśmy w prywatnej kwaterze. Po drugiej stronie ulicy był sklep spożywczy i kiosk z... alkoholem. Można w nim było kupić wino nalewane do własnych pojemników, lub na szklanki do konsumpcji na miejscu. Podobnie, do spożycia od ręki, można w nim było kupić wódkę na kieliszki. Mając gdzie spać i gdzie kupić coś do jedzenia i picia, czuliśmy się dobrze zabezpieczeni socjalnie i mogliśmy ruszać w góry.

Na pierwszy strzał miał iść górujący na okolicą Czatyrdah.

„Drząc muślimin całuje stopy twój opoki,

Maszcie krymskiego statku, wielki Czatyrdahu!

O minarecie świata! o gór padyszachu! ...”

Tak pisał o tej górze Adam Mickiewicz.

Nie sędzę, żeby „muślimini” - czyli tamtejsi Tatarzy - bali się tej góry, bo była ona dla nich miejscem wypasu ich stad. Przebywali tam sezonowo, podobnie jak nasi juhasi na tatrzańskich halach, i nie był to dla nich żaden „minaret świata”. Na Mickiewiczu jednak, który patrzył na Czatyrdah z Ałusztzy, jego białe, wyniosłe ściany mogły robić duże wrażenie, tym bardziej, że poeta do tej pory nie widział gór wyższych niż wileńska Góra Giedymina. My widzieliśmy już wyższe góry, ale mimo to Czatyrdah nas kusił i zaraz następnego dnia wybraliśmy się na niego.

Kursową marszrutką* podjechaliśmy najwyżej, jak się dało i rozpoczęliśmy podejście. Droga wiodła ostro pod górę przez liściasty las. Nie było zbyt trudno, ale nudno. W końcu las się skończył i zobaczyliśmy ciągnącą się po horyzont jają, czyli letnie pastwisko, na którym kiedyś Tatarzy pasali owce i kozy. Wyglądała jak bieszczadzkie połoniny pomieszane ze skałkami Jury Krakowsko-Częstochowskiej, tylko była bardziej płaska i opadała urwiskiem w stronę morza. Jak wzrokiem sięgnąć, ciągnął się dywan traw, kwiatów i porostów, utkany gdzieniegdzie kępami głogu, dzikiej róży, tarniny i jałowców.

Schodząc, to znów podchodząc, zbliżaliśmy się do szczytu. Na jednym z poprzedzającym go pagórków natknęliśmy się na modlących się ludzi. Dwóch duchownych prawosławnych i ze dwudziestu wiernych stało nad niewielkim kamieniem, obstawionym plastikowymi budkami z wodą. Jeden z celebransów odmawiał modlitwę i okadzał kamień oraz butelki. Wyglądało to na święcenie wody. Nie chcąc przeszkadzać, obeszlśmy tę grupę z daleka. Niedługo potem doszliśmy do najwyższego punktu góry, oznaczonego tylko małym kopczykiem kamieni i metalowym słupkiem.

Usiadłem, a przed sobą miałem widok o jakim zawsze marzyłem, a którego nigdy dotąd nie widziałem. Oto byłem na górze, a gdzieś tam pod moimi stopami rozciągało się morze. Wolałbym co prawda oglądać morze ze szczytu jakiegoś trzytysięcznika, ale i tak było cudownie. Chłonąc widoki, zastanawiałem się, czy Mickiewicz też był na Czatyrdahu i wyszło mi, że nie był. Skoro tak zachwycił się widokiem tej góry z dołu, to będąc na jej szczycie, byłby zauroczony i na pewno by o tym napisał. Nie zrobił tego jednak i wyglądało na to, że poeta zwiedzał te okolice tylko wariantem dolnym.

Po powrocie do Ałusztzy od razu poszliśmy na plażę. Wykąpaliśmy się, zjedliśmy coś w barze samoobsługowym, a po drodze na kwaterę zatrzymaliśmy się przy kiosku na winko.

Tamtego dnia było zakończenie roku szkolnego i, mimo późnej pory, po ulicach kręcili się jeszcze odświętnie ubrani uczniowie ze świadectwami w rękach. W oczy rzucali się absolwenci, którzy mieli poprzrzucane przez ramiona czerwone szarfy z białymi napisami „wypusznik”, czyli absolwent. Ci bawili się na całego. Do kiosku z alkoholem podszedł drobny wypusznik szkoły podstawowej i zamówił wódkę. Kioskarka bez wahania nalała mu setkę, on wychylił ją duszkiem, obtarł usta rękawem i poszedł w swoją stronę. Zapewne był to dla niego ważny dzień - dzień, w którym szczęśliwie ukończył swoje zmagania z podstawówką. Ważne dni należy godnie świętować i on zrobił to isticie po męsku.

Następnego dnia udaliśmy się do Doliny Przywidzeń. Wstęp do niej był płatny i nad kasą widniały ceny biletów. Chcieliśmy je kupić, ale bileterka bez pytania zażądała od nas kwoty równej mniej więcej połowie należnej, schowała pieniądze do kieszeni i otworzyła bramkę.

Dolina Przywidzeń to właściwie zbocze góry Demerdży usiane setkami skalnych rzeźb o dziwnych kształtach. Jest tam podobno „Biust carowej Katarzyny” i „Nos Jelcyna”, ale nie potrafiliśmy ich znaleźć, bo nosów i biustów było tam więcej. Poza tym były tam też liczne penisy, palce, grzyby i inne, nienazywalne skalne formy. Miedzy skałami lub na nich, wczepione korzeniami w szczeliny, rosły drzewa. Były powykrzywiane na podobieństwo drzewek bonsai i wyglądały, jak wyjęte z japońskich obrazów. Wspinając się pomiędzy skałami i fotografując prawie każdą, dotarliśmy do porośniętej trawą platformy, z której mogliśmy jeszcze raz zobaczyć z góry te wszystkie skalne cuda. Tam też spotkaliśmy dwóch młodych ludzi rozkładających lotnie. Albo lotnie były do bani, albo lotniarze, bo kłócili się i klęli, a praca się nie posuwała. Dopiero, gdzieś po godzinie, gdy byliśmy już na dole, ujrzeliśmy kolorowe trójkąty latające nad skałami.

Po dwóch dniach w górach postanowiliśmy zejść niżej, czyli do Wielkiego Kanionu Krymskiego, który jest jakby olbrzymim nacięciem na skorupie ziemskiej. Ma tylko około trzy kilometry długości, ale jego ściany gdzieniegdzie sięgają trzystu metrów i jest tak wąski, że miejscami dwie trzymające się za ręce osoby mogą dotknąć przeciwległych ścian.

Wchodząc tam, przypomniałem sobie usłyszane jeszcze w Polsce ostrzeżenie: „Patrz na niebo i jak zobaczysz, że idzie na deszcz, to od razu spieprzaj, bo tam woda w ciągu sekundy może się podnieść o metr i więcej.”

Tamtego dnia niebo było czyste. Potok spokojnie przełamował się przez skały, tworząc kaskady i malownicze kotły, a porastający ściany las dawał przyjemny cień. Szliśmy, przeskakując co chwilę z jednej strony potoku na drugą i obchodząc maleńkie stawki, aż dotarliśmy do niewielkiego wodospadu wpadającego do głębokiej niecki. Miejsce to zwane jest Wanną Młodości, bo podobno kąpiel w niej odmładza. Wsadziłem rękę do wody i od razu zrozumiałem, skąd wzięła się ta nazwa. Woda była tak zimna, że wszedłszy do niej, na pewno wyskoczyłbym z niej jak młodziak. Wkoło wanny siedziało kilka osób, ale jakoś nikt się nie kąpał - może dlatego, że byli to młodzi ludzie i odmładzanie nie było im potrzebne. Dalej ścieżka stawała się coraz węższa i krzaki utrudniały marsz. Poprzedziliśmy się jeszcze kawałek i zwróciliśmy.

W drodze powrotnej zatrzymaliśmy się na płaskowyżu niedaleko szczytu Aj-Petri, gdzie wpadliśmy w sam środek turystycznej komercji. Restauracja tatarska, restauracja rosyjska, stragany z pamiątkami, przekąskami i alkoholem, gwar i muzyka - istny cyrk na kółkach, jak na Gubałówce w szczycie sezonu.

Na szczęście po odejściu nieco dalej, mogłem spokojnie podziwiać widoki - a były piękne. Na wyciągnięcie ręki miałem zęby szczytu Aj-Petri, a głęboko w dole widać było Jałtę i inne miejscowości rozrzucone wzdłuż brzegu morza, który ciągnął się po horyzont. Morze na wprost migotało w słońcu i sięgało chyba końca Ziemi. Niestety, nagle skądś wypadły chmury i widoki diabli wzięli.

Jadąc nadmorską szosą na wschód, zobaczyłem górę, którą już znałem ze zdjęć. Wyglądała jak gigantyczny niedźwiedź z pyskiem zanurzonym w morzu i zadem wypiętym w stronę lądu. Nie było wątpliwości - to był Ajudah. Według legendy niedźwiedzie przed wiekami znalazły na brzegu morza małą dziewczynkę i opiekowały się nią, aż wyrosła na piękną pannę. Pewnego dnia spotkała ona w lesie przystojnego żeglarza, zakochała się i postanowiła uciec z nim za morze. Gdy odpływali, olbrzymi stary niedźwiedź, przewodnik stada, podbiegł do brzegu i próbował wypić morze, żeby ich zatrzymać. Morza nie dało się wypić, a niedźwiedź zamienił się górę i pozostał tak z pyskiem na zawsze zanurzonym w wodzie.

Ajudah widział też Mickiewicz i tak o nim pisał:

„Lubię poglądać wsparty na Judahu skale,

Jak spienione bałwany, to w czarne szeregi

Ścisnąwszy się, buchają, to jak srebrne śniegi

W milionowych tęczach kołują wspaniale. ...”

W programie naszej wycieczki niestety nie było wejścia na Ajudah, ale ja przecież musiałem być tam gdzie poeta. Na szczęście na następny dzień było zaplanowane plażowanie, więc odpuściłem je sobie i podjechałem autostopem w poblizsze góry. Od wspomnianej nadmorskiej szosy prowadziła w jej stronę wygodna droga, która później skręcała w dół, w kierunku dawnego sowieckiego obozu dla młodzieży „Artek”.

Za komuny pobyt w Arteku był marzeniem każdego sowieckiego pioniera. W nagrodę wyjeżdżali tam też zasłużeni działacze młodzieżowi z krajów demoludu. Może ten obóz nadal tam był, ale ja nie miałem czego w nim szukać, bo byłem za stary i niezasłużony dla komunizmu.

Poszedłem więc dalej prosto i wkrótce znalazłem się w lesie. Tam natrafiłem na ścieżkę i zacząłem po-

dejsście. Nie było ono trudne, ale trzeba było uważać, żeby nie pobłądzić. Udało mi się i niedługo dotarłem do szczytu. Nie było tam żadnego znaku, ale wyglądało na to, że wyżej już nic nie ma. Wkoło był tylko las. Na szczęście nieco niżej było coś w rodzaju punktu widokowego, z którego było widać kawałek morza i wybrzeża. Na pewno nie był to widok, który oglądał Mickiewicz. On musiał być gdzieś bliżej plaży, bo tylko tam były skały, na których mógł się wspierać i podziwiać fale. Na dół już nie poszedłem, ale i tak byłem zadowolony. Dotarłem tam gdzie był poeta, spełniłem moje marzenie i resztę dnia mogłem już spędzić na plaży w Ałuszcie.

Na zboczu Czatyrdahu bije źródło wody leczącej podobno wszystkie choroby. W średniowieczu powstała przy źródle mała świątynia, a w XIX wieku zbudowano tam monaster pod wezwaniem Kosmy i Damiana. Został on zniszczony w czasie drugiej wojny światowej, a pozostała po nim tylko kapliczka i kamienne ujęcie tej cudownej wody. W roku 1911 był tam car Mikołaj z rodziną, bo wierzył, że woda uleczy jego syna chorego na hemofilię. Tamtejsze lasy spodobały się władcy i utworzył w nich zamknięty teren łowiecki. Car i świta nie tylko polowali, ale też sprowadzali tam rzadkie zwierzęta, które w przyszłości miały uatrakcyjnić im łowy. Potem był to teren polowań dla komunistycznych i sekretarzy, aż w końcu powstał tam Krymski Rezerwat Przyrody.

Żeby zwiedzić rezerwat, musieliśmy wziąć lokalnego przewodnika. Trafiła nam się pani strojem i sylwetką przypominająca europosłanki jednej z naszych partii.

– Nie znam polskiego – powiedziała na powitanie. – Mogę mówić rosyjsku lub angielsku. Co wybieracie?

To proste pytanie w jej ustach zabrzmiało nieuprzejmie, a postawą zdradzała niezadowolenie z tego, że musi prowadzić grupę „Polaczków”. Wybraliśmy rosyjski, ale atmosfera zrobiła się gęsta. Mimo tego zgrzytu zwiedzanie szło dobrze. Przewodniczka mówiła ciekawie, ale już od początku dało się wyczuć jej uwielbienie carskiej Rosji i carów. Według niej „za cara” wszystko było lepsze.

Obejrzawszy źródło i resztki monasteru, ruszyliśmy w objazd rezerwatu. Jechaliśmy zboczami gór wśród lasów, a przewodniczka opowiadała o napotykanym widokach i przyrodzie. W jednym miejscu droga była tak wąska, że nasz busik z trudem przejechał.

– Ta drogą, tylko w odwrotnym kierunku, jechał car – powiedziała przewodniczka. – W tym miejscu była ona tak wąska, że jego powóz się nie zmieścił. Poproszono więc władcę, żeby wysiadł i przeprowadzono za zakręt, gdzie czekał już drugi powóz. Był identyczny jak pierwszy i nawet konie były takie same. Taka była organizacja za carskich czasów – zakończyła z dumą.

Jadąc dalej, dotarliśmy do miejsca, gdzie z drogi widać było szczyt góry Roman-Kosz.

– Tam nie wolno chodzić, bo to jest ścisły rezerwat, pilnowany dzień i noc przez strażników – powiedziała przewodniczka.

Jakby na zaprzeczenie jej słów zobaczyliśmy trzech chłopaków, wesoło zbiegających ze szczytu w stronę szosy.

– A im wolno tam chodzić? – zapytał ktoś.

– To są naukowcy z odeskiego uniwersytetu i im wolno – odpowiedziała, nie patrząc nawet w ich stro-

nę.

Skwitowaliśmy to uśmiechami, a przewodniczka płynnie przeszła do następnego tematu.

Jałtę i dalsze miejscowości zwiedzaliśmy już jak amerykańska wycieczka, czyli prawie nie wychodząc z busa. Przewodniczka robiła nam tylko krótkie postoje na zdjęcia, a poza tym pośpieszała, jak mogła. Wyglądało na to, że kończyła się jej dniówka. Zapewne jakiś datek mógłby ją spowolnić, ale nam już nie bardzo na tym zależało. I tak w atmosferze wzajemnego zrozumienia dotarliśmy do Ałusztzy.

Jest takie miejsce na Krymie, gdzie z jego wapiennych skał wystają ciemne skały wulkaniczne - to Karadah. Cały ten obszar jest rezerwatem, który można zwiedzać tylko z przewodnikiem.

Jechaliśmy do Karadah kursową marszrutką, której kierowca miał radio nastawione na jakąś rosyjskojęzyczną stację i umiał pasażerom czas muzyką. W pewnej chwili z głośnika poleciało:

„Ech, darożka frontawaja,

Nam nie straszna bambioszka liubaja. ... „**

Zatkało mnie, bo to była, przerobiona na disco, sowiecka piosenka wojskowa. Widać, że duch Stalina - choć w wersji disco - ciągle jeszcze krążył nad tym krajem.

Przy takim akompaniamencie dotarliśmy do wsi Kurortnoje, skąd mieliśmy rozpocząć zwiedzanie rezerwatu. Zostaliśmy dołączeni do grupy rosyjskojęzycznej. Nasz przewodnik był wysokim, szpakowatym mężczyzną, ubranym w eleganckie białe spodnie, takąż koszulę i kapelusz panama. Wyglądał, jak przedwojenny lord na kortach Wimbledonu. W ruchach i zachowaniu też miał coś arystokratycznego. Wiedział, że jesteśmy Polakami, więc zapytał, czy rozumiemy po rosyjsku.

– Jeśli coś nie będzie jasne, to chętnie powtórzę to po francusku, po niemiecku lub po angielsku – dodał.

Następnie uprzejmie przywitał grupę i ruszyliśmy.

Szliśmy po ostrych skałach ścieżką biegnącą miejscami tuż nad urwiskiem. Po drodze mijaliśmy różne fantazyjne formy skalne. Między nimi rosły kwitnące właśnie róże i dlatego miejscami miało się wrażenie spaceru po rozarium, udekorowanym ciemnymi skałami. Na dole zaś, widzieliśmy skały wystające z błękitnej wody. Były większe od tych na lądzie, a królował im łuk skalny, zwany „Złote Wrota”. Między nimi kręciły się łódki, bo Karadah można też było zwiedzać od strony wody. Przewodnik szeroko objaśniał nam, co widzimy, a mówił tak wyraźnie, że nie mieliśmy żadnych problemów ze zrozumieniem.

Razem z nami szedł też pewien młody człowiek. Był boso. Wulkaniczne skały potrafią być ostre jak szkło, ale jemu to nie przeszkadzało i skakał po nich jak kozica. Gdy przeszliśmy cały rezerwat, nasz bosonogi towarzysz usiadł na ławce i zaczął sobie fotografować stopy. Wyglądało na to, że robił dokumentację swojego wyczynu.

Nasz pobyt na Krymie dobiegł końca i następnego dnia „wplynąłem na suchego przestwór oceanu”. Nie jechałem, jak Mickiewicz, wozem, lecz pociągiem i nie „śród fali łąk szumiących, wśród kwiatów powodzi”. Jechałem przez poźółkły step, na którym faktycznie nie było „nigdzie drogi ni kurhanu”.

Kurhanów nie było, ale gdzieś tam widać było, stojące w zupełnej pustce małe, murowane budynki wielkości garażu na jedno auto. Wszystkie były nowe, ale powód ich zbudowania sięgał czasów przedwojennych, kiedy to „wujaszek” Stalin wysiedlił z Krymu nieposłusznych Tatarów. Po latach zesłańcy lub ich potomkowie wracają i domagają się zwrotu utraconych ziem. Ukraina je im zwraca, ale wymaga, żeby zaraz je zagospodarowywali. Budują więc Tatarzy takie budki z jednym oknem, bo według prawa to wystarcza. Oczywiście nikt w nich nie mieszka, ale w ten sposób obie strony są zadowolone - Tatarzy mają ziemię, a Ukraina podatki od nieruchomości.

Pociągiem dotarliśmy do Lwowa, a dalej autobusem do miejscowości Szeginie. Stamtąd poszliśmy piechotą do przejścia granicznego. Opaleni, z plecakami i w górskich butach, bardzo różniliśmy się od reszty obładowanych torbami „turystów”.

– Skąd wracacie? – spytał ukraiński pogranicznik, gdy przyszła nasza kolej.

– Z Krymu.

– Na piechotę? – dopytał z szerokim uśmiechem. – Przechodzić.

* marszrutka - busik

** „Ech, darożka frontawaja,

Nam nie straszna bambioszka liubaja. ... „,

- fonetyczny zapis rosyjskiego tekstu, który w wolnym tłumaczeniu brzmi:

„Ech, dróżko frontowa,

Nam nie straszne żadne bombardowanie. ... „,

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.